



Zofia Rydet "Zapis socjologiczny 1978 - 1990", prace z kolekcji Fundacji im. Zofii Rydet

ZOFIA RYDET, „ZAPIS SOCJOLOGICZNY”

ADAM MAZUR

Wystawa Rydet jest piękna, poruszająca i skromna zarazem. Oglądanie jej zdjęć to odkrywanie geniuszu ukrytego w fotoamatorce; geniuszu, który demoluje hierarchie artystyczne i pozostawia widza bezradnym

O Zofii Rydet (1911-1997) trudno pisać bez patosu. W każdym razie nie udaje się to Andrzejowi Różyckiemu, kuratorowi najnowszej wystawy fotografiki, dla którego „Zapis socjologiczny” jest „najwspanialszym, najważniejszym i najcenniejszym przesłaniem artystycznym i ideowym polskiej fotografii lat powojennych [...] jednym z istotniejszych zamierzeń artystycznych fotografii światowej.” To zdanie o tyle paradoksalne, że dotyczy osoby długo traktowanej przez artystyczny establishment niczym ambitna fotoamatorka, dziwaczka, która zaczęła tworzyć w wieku lat czterdziestu, a dzieło swego życia podjęła mając dobrze po sześćdziesiątce. Jednak Różycki wie, co pisze, gdyż sam jest nestorem polskiej fotografii artystycznej o proweniencji awangardowej.

W Czytelnicy Sztuki zebrano kilkadziesiąt fotografii Zofii Rydet z kilku serii, składających się na monumentalny, liczący dziesiątki tysięcy naświetlonych klatek, tworzony w latach 1978-1990, „Zapis socjologiczny”. Są tu słynne portrety we wnętrzach wiejskich chałup z okolic Rabki i szerzej

„Zapis Socjologiczny 1978 - 1990”

Podhala. Fotografie kobiet uchwyconych przed wejściem do izb, zdjęcia samych chałup oraz kilka wykonanych przez Rydet remiksów własnej twórczości z użyciem flamastrów, nożyczek i kleju. Znakomite obrazy, które można studiować godzinami, składają się na brutalną panoramę przednowoczesnej polskiej prowincji. Gdyby nie sporadyczna obecność na fotografiach odbiorników radiowych, a nawet telewizorów typu „Wisła”, można by pomyśleć, że to kurne chaty rodem ze średniowiecza, a nie schyłek drugiej połowy XX-wieku.

wystawa fotografii Zofii Rydet, kurator:
Andrzej Różycki, Czytelnia Sztuki
(<http://www.czytelniasztyki.pl/?p=1654>),
Gliwice, do 15 września 2012

Dokumentacja kultury materialnej późnego PRL-u jest dla Rydet istotna, ale tylko jako tło dla studiów portretowych ludzi. Ludzi z krwi i kości, dalekich od zakorzenionych w polskiej fotografii idealnych, pocztówkowych typów etnograficznych. W swoim zapisie Rydet jest obsesyjna, czuć tu wręcz przemoc. Wbrew licznym zmiękczeniom egzegetów opisujących jej humanistyczne zacięcie, fascynację ludem i swoistą mistykę spotkania z drugim człowiekiem, metoda pracy Rydet polegała na wtargnięciu do wnętrza izby i wykonaniu możliwie ostrego, szczegółowego i nieupiększonego zapisu rzeczywistości społecznej.

Uwieczniani przez Rydet ludzie do historii przechodzą może niezbyt pięknie, ale za to autentycznie; anonimowi, nasi krewni, nasi rodacy. Na naturalistycznych zdjęciach widać brud, czuć niemal zaduch biednych izb, w których ludzie już nie mieszkają z bydłem, ale domowe hodowle kurczaków zdarzają się nadal.



z kolekcji Fundacji im. Zofii Rydet

Warto pamiętać o wyjątkowości tego rodzaju kadrów, bo różnica pomiędzy Rydet a resztą fotograficznej stawki jest rażąca. Z jednej strony „Zapis” to negatyw zdjęć z kręgu „fotografii ojczyściej”, tworzonych jeszcze przed wojną choćby przez brata artystki, Tadeusza, który dla celów artystycznych i propagandowych parał się uwiecznianiem pięknych typów góralskich i huculskich. Z drugiej, zaprzeczenie subtelności konceptualnych typologii i analitycznego wymiaru prac artystów awangardzistów, choćby z kręgu Andrzeja Różyckiego i Warsztatu Formy Filmowej. Rydet nie byłaby sobą, gdyby nie przekroczyła też ustalonego przez siebie pułapu fotografii. Jeśli jej wcześniejsze cykle o jakże znaczących tytułach – „Mały człowiek”, „Świat wyobraźni i uczuć” – wydają się dziś kłopotliwe przez swój sentymentalizm i wciągający, ale jednak kicz, to „Zapis” jest wejściem w chłodny, totalny projekt, w którym nie miejsce i czas na emocje. Autorska inwencja pojawia się wprawdzie w późnych przeróbkach wybranych prac, ale nie zmienia to bezwzględności prymatu rzeczywistości materialnej nad dominującą w poprzednich cyklach fantazją.

Gliwicka wystawa Zofii Rydet jest piękna, poruszająca i skromna zarazem. Oglądanie jej zdjęć to odkrywanie rzeczywistości coraz bardziej zapoznanej. To odkrywanie geniuszu skrytego w skromnej fotoamatorce; geniuszu, który faktycznie demoluje hierarchie artystyczne i pozostawia widza, krytyka, bezradnym. Rydet jeszcze w latach 80. wystawiała na pokazach fotoamatorów jurorowanych przez artystów rangi Jerzego Lewczyńskiego i Edwarda Hartwiga. Dziś, jeśli mierzyć artystów oddziaływaniem na kolejne pokolenia, Rydet wymiotła wszystkich ówczesnych mistrzów, wszystkich zawodowych artystów-fotografików.




z kolekcji Fundacji im. Zofii Rydet

W ostatnich kilku latach jej fotografie wystawiane były razem z pracami Anety Grzeszykowskiej i Jana Smagi, Julii Staniszwskiej, inspirowały Łukasza Skąpskiego, Przemysława Pokryckiego,

Weronikę Łodzińską i Andrzeja Kramarza, Adama Pańczuka, by wymienić tylko najciekawszych artystów młodszego pokolenia. Rydet mogłaby spokojnie występować w roli patronki współczesnych fotografów. Mogłaby, ale wciąż pozostaje jakby z boku kanonicznych figur męskich mistrzów.

Rydet nigdy dość, ale jakkolwiek ciekawy, gliwicki pokaz zostawia jednak uczucie niedosytu. Wystawa stanowi jedynie zręczny remiks rzeczy dobrze znanych. Po zorganizowanych w 2008 roku w ramach Miesiąca Fotografii w Krakowie i w 2011 w ramach Fotofestiwalu w Łodzi ekspozycjach, to kolejna próba wykazania aktualności dorobku artystki. Dorobku, na temat którego wiedza wciąż jest ograniczona i żadna z wymienionych wystaw, niestety, tego stanu nie zmieniła, choćby ze względu na brak opracowania katalogowego i adekwatnej refleksji krytycznej.

Paradoksalnie, pomimo wielu późniejszych wysiłków przybliżenia sylwetki, Rydet pozostaje rozpoznana głównie dzięki inicjatywie legendarnej kustosz łódzkiego Muzeum Sztuki, Urszuli Czartoryskiej, która zainicjowała zrealizowaną w 1999 roku przez Krzysztofa Jureckiego wystawę z obszernym katalogiem. Od tamtej pory odbiór Rydet utknął w martwym punkcie: powtarzanie wystaw, powtarzanie koncepcji, mnożenie frazesów i coraz bardziej wytartych porównań (od Jana Bulhaka po Augusta Sandera). Analogie wątpliwe, raczej zaciemniające niż podkreślające wartość dorobku. Mitologizowanie i brązownictwo już dalej nie zajdą, czas na rzeczowe rozpoznanie i ocenę jego wartości. 

Autor

Adam Mazur

Krytyk, historyk sztuki i amerykańista, kurator CSW Zamek Ujazdowski, autor książek i artykułów o fotografii, urlopowany redaktor naczelny magazynu Obieg (www.obieg.pl) .

Data

08/2012

Tagi

Zofia Rydet, fotografia polska XX wieku, Czytelnia Sztuki